

(MECZET MUSJID W INDYACH.)

MECZET MUSJID W INDYACH.

Musjid, jest to na ruinach indyjskiéj świątyni w Benares zbudowany meczet. Wysmukłe dwa minarety, ku obłokom wystrzelone, równie jak cała budowa liczą się do cudów świętego indyjskiego miasta. Jedyny to ogromem swoim zadziwiający gmach mahometański przez Aureng-Zeba wzniesiony, w celu upokorzenia nieugiętego fanatyzmu Hindusów, którzy, ilekroć teraz Musjid wspominają, nigdy niezaniedbują przeklinać jego założyciela, i gniewem zapałać się przeciwko sprofanowaniu świętego miasta obecnością meczetu mahometańskiego.

Ze szczytu mineratów przepyszny widok zachwyca oko. Z jednéj strony daje się widzieć miasto Benares; z drugiéj niezmierzone niwy Ghazipur, kwieciem róż zasiane, z których wyrabia się slawna essencya *Atta-Gul* (obacz *Magazyn Powszechny* 1836 Nr. 133 str. 1063).

Lecz niech się niezapala wyobraźnia czytelnika na wspomnienie o tych polach różami zasianych, niech niewystawia sobie raju wonnością przesiękniętego, napełnionego altanami ocienionemi mnogością kwiatów i pączków: uprawa róż w Ghazipur jest tylko przedmiotem spekulacyi handlowéj; i te okiem niezmierzone plantacye z bliska stawią widok nader pospolity, całkiem uroku poezyi pozbawiony.

Opisanie samego miasta Benares znajduje się w *Magazynie Powszechnym* 1836 roku Nr. 141 i 142.

RYSY PERSYI.

(*Ciąg dalszy. Ob. Nr.* 25 *str.* 198.)

Oficerowie perscy — figury nader zabawne. Ubiór ich składa się z surduta do kolan dochodzącego, z kołniérzem haftowanym i z sutemi szlifami, z pantalonów wciśniętych pod buty i z czapki baraniéj. Zgoła nie świadomi sztuki wojennéj, nadzwyczajnie skorzy są do chełpliwości. W powyższym ubiorze, mają postać ściśle urzędową, i na ich twarzy napisano, że uważają siebie za coś wyższego nad wszystko cokolwiek jest na świecie. Anglicy, instruktorowie wojska, nie wdają się w ekonomiczne rozporządzenia o żywności, w wypłatę gaży i tak daléj; obowiązki te włożone są na oficerów perskich, którzy nie mając za grzéch kłaśdź w kieszeń pieniądze przechodzące przez ich ręce, okradają biédnych żołnierzy z nadzwyczajną bezczelnością. Licząc się do klassy cywilizowanych w kraju, stosują się we wszystkiém do obejścia się wyższego towarzystwa. Wybitną cechą odróżniającą tych ludzi, jako pojmujących zwyczaje europejskie, i piérwszym ich krokiem do oświecenia, jest używanie białych chustek do nosa, które zazwyczaj nie są obrąbione, tak iż nici strzępią się po wszystkich brzegach. Emir-Nizam przez elegancyą, zawsze obraca w ręku białą chustkę do nosa.

W obozie spotkałem mego znajomego, Ali-Chana, *nasakczy-baszy*, naczelnika żandarmów: ucieszyłem się niepomału żem go oglądał; był to bowiem wielki gaduła i niekiedy dosyć oryginalny; prosiłem więc ażeby ze mną razem powracał z obozu do miasta. Jadąc opowiedział mi mnóstwo nowin, po większéj części zmyślonych, i oświadczył, że wybiera się do Teheranu w orszaku szacha. Figura tego Ali-Chana i jego sposób wyrażania się dziwnie są pocieszne. Ogromne wołowe wytrzészczone oczy, nos spłaszczony, gęba bez miary, cała twarz w marszczkach i koloru żółto-cynamonowego. Jechaliśmy noga za nogą. Od nowin politycznych przeszedł on do rozmaitych bajek i przypowieści, i całe pół-godziny opowiadał mi jakąś anegdotę o małpie i człowieku, towarzysząc swojéj powieści grymasami i gestami, godnemi małpiéj historyi, tak powikłanéj i bez sensu, że w końcu nic zgoła nie zrozumiałem. Wołałem przeto zwrócić uwagę do rzeczy obecnych.

— Czy nie wiecie czego o kajmakanie? zapytałem go: chciałbym wiedzieć o nim cokolwiek; człowiek to niepospolity.

— Ba! niepospolity! — odpowiedział, podniosłszy z wyrazem wzgardy wargę dolną ku górnéj, od czego twarz jego tak się pomarszczyła, jak grzyb warem oblany.

— Czyż więc kajmakana masz za głupca, że wspominasz o nim z takim wyrazem pogardy?

Ali-Chan zląkł się, myśląc, że chcę go oskarżyć; ale wkrótce uspokoiłem go, śmiejąc się w duszy z takiego przestrachu. Rozmowa szła daléj zwykłym trybem.

— Powiedzcie mi chanie, cokolwiek o kajmakanie — rzekłem z uśmiéchem, ażeby go ośmielić: — klnę się na głowę moję, że ani jedna dusza w Persyi nie dowie się o tém, co mi powiedzieć zechcesz.

— Cóż mam rzec o tym nikczemniku! Oprócz samych podłości nikt o nim nic nie wié.

— Jak to, nikczemnik? zawołałem dosyć głośno. Czyliż kajmakan jest nikczemnikiem?

— Ach, przez Allaha, jakże mię straszycie! rzekł Ali-Chan. Wszystko mi się roi, że któryś z zauszników podsłuchuje nas, i że źle wyjdę na tém.

Ze strachu mimowolnego, chociażeśmy czystém polem jechali, Ali-Chan oglądał się na wszystkie strony; ale wnet sam się zawstydził nadzwyczajnéj swéj bojaźliwości i zaczął śmiać się z niéj ze mną razem. Potém znowu przybrał poważną minę, pogładził brodę i odmówił krótką modlitwę, którą Persowie ni w pięć ni w dziewięć, jak niesie przysłowie, do rozmowy mięszają.

— Cóż, chanie, nic mi jeszcze nie powiedziałeś o kajmakanie? Czy lubił go nieboszczyk Abbas-Mirza?

— Tak lubił, że nie było dnia, żeby go albo nie wyłajał, albo nie wybił. Co to za człowiek ten kajmakan! Pche!... to nie człowiek. Ja naprzykład, wcale co innego: mam lat sześćdziesiąt, czterdzieści lat zostaję w służbie, a dwadzieścia trzy lata strawiłem przy nieboszczyku *naib-sułtanie* (następcy tronu) Abbas-Mirzie, w urzędzie nasakczy i nasakczy baszy. Raz mię tylko uderzył w policzek. A kajmakana!

— Powiedzcie mi proszę, czy ów policzek, który wam jego wysokość Abbas-Mirza wymierzyć raczył, był mocny, czy nie?

— Tak; dosyć bolało; ciężką miał rękę.

— Za cóż was uderzyć raczył?

— A wszystko za tego kajmakana! Rozgniéwany był na niego za ustawiczne jego głupstwa; ja nawinąłem się jakoś w tę chwilę, powiedziałem cóś od rzeczy, a on mnie w twarz! *Inszałłach*, jeżeli podoba się Allahowi, kiedykolwiek bądź zhańbię mogiłę ojca kajmakana!

— Ze wszystkiego widzę, że go nie cierpicie; jednak gdy przychodzicie do niego, słowa wasze zapewne są: „żeście gotowi głowę swą ponieść zań na ofiarę."

— A czyżem rozum stracił, żebym inaczéj miał mówić? Miłe mi są oczy moje. Ręczę wam, że gdyby się dowiedział choć o setnéj części tego co wam mówię, nieskończyłbym z nim sprawy i na tamtym świecie. Przez Allaha, nie mówmy o nim więcéj; jego imię jest mi obmierzłe.

Resztę drogi przebyliśmy prawie w milczeniu. Zbliżając się do domu, przeprosiłem, że nie mogę przyjąć go u siebie, bo tylko na chwilkę wstąpię do mieszkania, i potém znowu pójdę do miasta.

— Żegnam was, *barun*, rzekł groźny naczelnik policyi wykonawczéj. Jeszcze jedno słówko!... Nie możecie-li, duszo moja, przysłać mi jeszcze kilka buteleczek tego szerbetu, którym mię udarowaliście przed tygodniem.

— Z całego serca, kochany chanie. *Chuda hafiz!* Bóg stróżem waszym!

— Allah niech strzeże synów waszych!

Rozstaliśmy się. Przyszedłszy do domu, posłałem staremu Ali-Chanowi sześć butelek madery: to był bowiem ów *szerbet*, o który on mię prosił.

Nie mogę rozstać się z szanownym przyjacielem moim nasakczy-baszy, niepowtórzywszy tu jednéj jeszcze anegdoty, którą od niego słyszałem. Rzecz idzie już nie o charakterach wrodzonéj nikczemności i przewrotności, ale o wiarołomstwie i barbarzyństwie do których wspomnione dwie przywary doprowadzają niekiedy Persów. Złożywszy w jednę istotę lisa, kota i tygrysa, mieć będziemy wyobrażenie prawdziwe charakteru perskiego. Mieszkańcy Jezdu, których rządzcą był Muhammed-Weli-Mirza, jeden z synów szacha, w spółce z koczującemi pokoleniami Bachtyarów i Szachszewenów, i samym rządcą, wiele złego nabroili. Dla położenia kresu nieładowi, szach przymuszony był wysłać wojsko pod dowództwem Kasim-Chana: nie ręczę za rzetelność nazwiska, zdaje się jednak, że prawdziwe. Muhammed-Weli-Mirza, usłyszawszy o zbliżeniu się wojska, opuścił swój *dom*, to jest harem, i uciekł z miasta. Kasim-Chan był, niewiadomo z jakiego powodu, zażartym wrogiem Weli-Mirzy: srogo ukarał mieszkańców Jezdu, i korzystał z okoliczności, ażeby się pomścić nad samym książęciem. Zająwszy miasto, wygnał ztąd sromotnym sposobem wszystkie żony zbiegłego rządcy. Weli-Mirza skarżył się o to przed ojcem; ale szach niechciał karać dzielnego wojownika, nakłaniał syna swego Weli-Mirzę, ażeby puścił urazę w niepamięć. Kasim-Chana wezwano do Teheranu. Szach przywołał obu nieprzyjaciół, i łaskawie obszedłszy się z nimi, potrafił ich pojednać, tak iż się w obec jego z sobą uściskali. Weli-Mirza z całéj duszy przebaczył Kasim-Chanowi, i żeby mu dowieśdź, iż się nie gniewa, żeby więcéj jeszcze ustalić nową zgodę, Weli w przytomności szacha zaprosił go do siebie na obiad tegoż jeszcze wieczora. Niepodobna było Kasim-Chanowi odmówić. Wieczorem więc udał się do książęcia. Niemógł atoli żadną miarą pojąć, jakim sposobem Weli-Mirza tak rychło i tak łatwo zapomniał haniebnéj urazy. Zbyt dobrze znając swych rodaków, przewidywał zdradę i wchodząc w dom książęcia chciał się przebić kindżałem. Wstrzymano go. Książe oświadczał się przed nim z najszczérszą przyjaźnią, u stołu był bardzo wesoły, żartował, śmiał się, pił wino z miłym

gościem. Towarzystwo, podweseliwszy się, doczekało się głębokiéj nocy. Kiedy rozmowa, śmiéchy i żarty, w największym były ogniu, nagle otworzyły się podwoje, a z nich wysypały się wściekłe jak furye kobiéty: rzuciły się na Kasima z nożami, scyzorykami, igiełkami, nożyczkami, szpilkami, i nieszczęśliwego chana rozszarpały w kawałki. Były to żony Weli-Mirzy,— te same, których Kasim sromotnie wygnał z Jezdu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POEZYA I JÉJ ZABYTKI U LUDÓW SŁOWIAŃSKICH, AŻ DO XIV WIEKU.

przez Wacława Alexandra Maciejowskiego.

W pieśniach ludu najlepiéj się malują uczucia które ożywiają jego serce, najwydatniéj przebijają się rysy jego charakteru, najwidoczniéj przedstawia się jego wyobraźnia i stawia na widok sposób myślenia narodu. Słowiańskich ludów pienia są nabożno-tęskliwe, przeplatane często miłośno uszczypliwemi wyrazami, zdradzającemi serce ludu, który w każdéj dobie od ziemi ku niebu myśl zwracając swoję, w ucinkowych podobał sobie wyrażeniach, przez nie objawiał swój dowcip, siebie i innych satyrą godząc, tak wszelako, iż tém raczéj rozśmieszał i bawił, aniżeli jątrzył i gniéwał. Wysoko cenił Słowianin swe piosnki, mawiając, że dla tego bóstwo natchnęło niemi serca dziewic i młodzieńców, ażeby język narodowy mógł się utrzymywać w czerstwości, ażeby rzeźkość umysłu zachowywali młodzi i starzy, z pieśniami razem pielęgnując muzykę, ich nieodstępną towarzyszkę. (*Zpewanky Kollara* I. str. 59. 63. 64.) Jakoż, ilekroć słowiańskich ludów upadała literatura, poezya znowu ją budziła do nowego życia, nowemi siłami pokrzepiała omdlewający język narodu, wydobywając podług okoliczności szczytne lub płaskie pienia z piersi poety. Ten, czy to był wieszczem, czy prostym składaczem albo wierszokletą, jak Czesi w XII—XIV mawiali wieku (*Wacerad v. vates, carmina*, Bohemar. w. 369) wysokie miał zawsze poważanie nietylko u rodaków, ale i u ludów obcych, na słowiańskiéj osiadających ziemi, jako ulubieniec bóstwa które wieszczém natchnęło go pieniem.

Atyla, ów bicz Boży, zesłany na ukaranie drapieżcy świata Rzymu, pustoszyciel roskosznych zakarpackich krain, kończył swe uczty słuchaniem pieniów swych wieszczy (*Priscus*, w *Byzant.* I. str. 45.) Bez śpiewów i tańca nieobeszła się żadna zabawa u Rusinów pogan (*i schożachusia na igriszcza i na wsia plasanja i na wsia biesowskyja pieśni*, Nestor, u Szlec. II. str. 125); a i za chrześciańskich czasów pieśń i odgłos gęśli (*Ewang. Ostromir.* u *Dobrowskiego: Cyrill u. Meth.* str. 129), bywały zwiastunem weselenia się rodzin. Również i u Czechów, już za pogańskich bezwątpienia czasów, nucono owe pieśni, których w XII wieku odbijany odgłos, wylał na papier w XIII wieku Królodworskiego rękopisu twórca. Jeszcze w późnych czasach brzmiały odgłosem dzielne czyny węgierskich rycerzy, o których po siołach nucono wiejskie pienia (*). W całéj Słowiańszczyznie aż po dziś dzień nuci lud starodawne piosenki, gdy tymczasem o swoich pieśniach gminnych już niemal cała zapomniała Europa.

Po gminnych pieśniach rozlana jest smętność. Jest w nich rozrzewnienie serca i ubieganie się za czémś niebieskiém, w co lud wierzył że go zbawi, i za czém się jak gdyby za jaką marą zawsze, ale na próżno, uganiał. Wreszcie gminne śpiewy cechuje owe delikatne czucie, które się tak silnie przebija w każdéj, nawet najgminniejszéj pieśni. Powszechna niemal wszystkich narodów i wieków zaszła na to zgoda, że wszelkie pienie któremu téj niedostaje własności słowiańskiém nie jest: a u wszystkich Słowian powstało to przekonanie, że chcąc poezyi nadać cechę narodowości, potrzeba ją przybrać w zalet tych szatę, bo inaczéj do serca słowiańskiego nie przemówi, ani się podobać nie będzie. Czy to do najwyższéj Istoty wznosił swe pienia, czy rycerskie głosił czyny, czy obrzędowe opiéwał zwyczaje, czy miłośne nucił piosenki, czy w moralnych i satyrycznych układach zastanawiał się nad człowiekiem, (na tyle bowiem rodzajów podzielić można pieśni słowiańskiego ludu z tego okresu), zawsze Słowianin tęschliwo-delikatne wylewał serca swojego uczucia. W pieśniach ludu ogromne przysposobił on zasoby dla przyszłych geniuszów narodową poezyą stwarzać mających. Już się pokazali ich gońce. Już za Karpatami, w Rossyi i w Polszcze wzniosła się lutnia wieszczów nad poziomość sielskiego pienia. Jest więc nadzieja że się zjawią i mistrze, którzy w epicznych i tragicznych utworach, (te bowiem w całym przestworze początku i końca nie mającéj krainie poezyi królują), zgodnie z narodowości duchem nastroją do pienia religij-

(*) Credite garrulis cantibus joculatorum et falsis fabulis russicorum, qui fortia facta et bella Hungarorum usque in hodiernam diem oblivioni non traducit. Notarius u Schwandta. I. str. 27.

ną arfę i świecką lirę, z harmonijném pieniem żeniąc filozofią, z narodowości również wydobytą ducha.

Wyliczę chronologicznie pieśni ludu, na osobne rozkładając je rodzaje:

1. NABOŻNE PIEŚNI.

W Czechach natrafiamy na piérwsze ślady nabożnych pieśni pochodzących z pogańskiego już czasu. Wskazują one na to, że i w Polsce nucone były. Piosnkę o Marzanie, bogini śmierci, któréj nam ułamek zachowano (*Jungmann*, Histor. liter. czesk. str. 27 naturalnie że nie w pierwotworze mowy), śpiewano i u nas jeszcze za czasów Bielskiego (*Śmierć wieje się po płotu*, i t. d.) a więc w XVI wieku. W Królodworskim rękopisie są strofy nabożnych pieni, (w pieśni *Jarosław*, strofa *Wstan o Hospodine we swém hnewu!*) będące téj saméj niemal treści co i owa sławna cerkiewna pieśń Czeska: *Hospodyne pomiłujny* (znajduje się i u Rakowieckego: Prawda Ruska II. str. 258). Z późniejszych czasów zasługuje na uwagę pieśń o ś. Wacławie: *swaty Waclawe wewodo czeske zemie knieże nasz*, (i u Benesza de Weitmit w S. R. B. II. str. 396), lubo i czas utworzenia jéj, tudzież pierwotwór wiadomy nie jest: nie ulega bowiem wątpliwości że w odmiennéj, od pierwotnego swojego utworu, postaci doszła do naszych czasów. W zbiorze starożytnych poezyj czeskich (*Starobyla skladanie*), jest wiele pieśni nabożnych i moralnych, tudzież wiele historyczno-duchownych opowiadań czyli legend (zastanowiło mnie szczególniéj Dziesięcioro przykazania, ważne pismo do opisu obyczajów owego wieku), które pod względem estetycznym mają swą wartość. W pieśni noszącéj napis *dziesięcioro radości P. Maryi*, jest godném uwagi wyrażenie: „wydała Marya syna bez żadnéj boleści, jak kwiat wydający z siebie wonią bez żadnego uszkodzenia;" a w pieśni *płacz Maryi* tak się wyrażono o Jezusie Chrystusie: „Kwiecie najśliczniejszy, wszystkich kwiatów kraso."

Mamy (u *Archid. Gnesn.* II. p. 81. *Dług.* I. str. 1078) ważne świadectwa o pieśniach ku czci Bożéj w Polsce układanych: lecz te do naszéj pamięci nie doszły. Twórcą ich był Jan Łodzia biskup Poznański: człowiek w towarzystwach miły, lubiący wesołość i muzykę, szczególniejsze do N. Panny nabożeństwo mający (*). Ułożył on pieśń o wniebowzięciu P. Maryi, zaczynającą się od wyrazów: „Witajcie podwoje zbawienia" (*salve salutis janua*); drugą na oczyszczenie tejże N. Panny, która się tak zaczynała; „jasność po drodze świeci" (*lux clarescit in via*); trzecią pieśń zrobił na cześć ś. Wojciecha, a każdy początkujący wyraz w wierszu zaczynał się od głoski z imienia i nazwiska poety wyjętéj, tak, iż wszystko razem tworzyło wyrazy: Jan Prałat Poznański; czwartą pieśń ułożył o ś. Piotrze, któréj początek był taki: ty jesteś opoką (*tu es Petrus*); piątą pieśń ułożył o ś. Pawle. Powiadają kronikarze że pieśni te odśpiewywano w polskim kościele (*). Powiadają daléj, że z powodu ułożenia tych pieśni, Katedra Poznańska nie pamiętając na jego grzeszne życie z wdzięcznością zawsze wspominała imię poety Łodzi (**).

Pieśni Biczowników, śpiewanych podczas obchodów dwa razy na dzień, ani śladu teraz nie masz. Zaginęła i pieśń o męce Pańskiéj, którą ułożoną przez Jana opata Witowskiego, trudów Władysława Łokietka nieodstępnego towarzysza, śpiewano u nas w poście (*L. Łukaszewicz*, *Rys dziejów piśmiennictwa polskiego*, str. 7.) Sam Psałterz Małgorzaty jest długiém nabożném pieniem, zalecającém się mocą języka, pięknością wyrazów, a często nawet jędrnością myśli.

2. PIEŚNI HISTORYCZNE, RYCERSKIE, OBRZĘDOWE.

Z okresu tego kilka Czeskich historycznych pieśni doszło do naszych czasów; wszakże rycerskich pieni, historyczne zdarzenia opisujących, posiadamy wiele. Do pieśni historycznych należy pieśń sądem Libuszy zwana; druga, (którą P. Siemieński w tłómaczeniu swojém Królodworskiego rękopisu w jedno pomieszał z piérwszą, z powodu że sam rękopis nie oddziela jéj od pieśni o sądzie Libuszy) jest ułamek pieśni o prawach czeladzi, czyli rodu zostającego we spólności majątkowéj pod jedną głową. P. Hanka w najnowszém wydaniu rękopisu Królodworskiego, dał jéj napis Sejmu, z powodu jak mniemam, że na publiczném zgromadzeniu narodu odczytawszy to prawo, za powszechnie obowiązujące uznali je Czesi. Wnoszę to z dwóch ostatnich ułamku tego wierszy. Trzecią nakoniec historyczna pieśń, o przygodzie Sztemberka, z końca XIV wieku, przywiódł P. Palacki (w Czasopiśmie Czeskiego muzeum I. str. 17).

(*) Sed lubricam carnis avdenter agebat, bene literatus et bene natus qui etsi pro tempore solatiis et hilaritensi operam daret, singulariter tamen Virgini Beatae devotis famulabatur obsequis.

(*) Quam Ecclesia Polonica post completionem Primae canere consuevit.

(**) Magnum sui monumentum apud Ecclesiam Posnaniensem reliquit.

Czwarta pod napisem Tristram z XIII pochodząca wieku, cały tom czwarty starodawnych Czeskich poezyj (*Starobyla skladanie*) zajmuje.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

NOWE DZIEŁA.

(Artykuł nadesłany.)

Piekarz i jego rodzina, powiastka J. Kraszewskiego. Wilno 1837, *w drukarni Neumana* in 16.

Pan Bartłomiéj, powiastka J. Kraszewskiego. Wilno 1837, *w drukarni Neumana* in 16.

Autor w przedmowie do jednéj z tych powiastek wylicza przymioty potrzebne pisarzowi romansów i imiona wszystkich prawie najsławniejszych romanso-pisarzów Europy na scenę wywodzi; jedynie dla oświadczenia w końcu, *że żadnego z nich nienaśladuje, że pisze wcale oryginalnie, a na próbę jak mu się to udaje*, te dwie powiastki oddaje pod *sąd czytelników*.

Gdy Szekspira strofował krytyk że niekiedy brał całą scenę z jednego pisarza współczesnego, odpowiedział: „Taka scena jest jak osoba, którą z tłoku rynkowego wprowadzam do dobrego towarzystwa."

Molier na taki zarzut bronił się jeszcze śmieléj: „Gdzie tylko znajdę, biorę co dobre."

A jednak, dziwna! utwory tych dwóch ludzi co się tak bez wstydu do księgokradztwa przyznawali, uważa Europa za najoryginalniejsze, jakie tylko wydał umysł ludzki. Słysząc tych mistrzów, twórców tylu oryginalnych (pierwotwornych, wyraz Lwowski), arcydzieł, przyznających się do literackiéj kradzieży i naśladownictwa, któż nie pojmie naszéj radości gdyśmy z dobrą wiarą przeczytali, że literatura nasza ujrzy *dobre* romanse nowego rodzaju, którego jeszcze nieodgadła tak bogata, może do zbytku bogata, w różnorodne romanse i powieści, współczesna Francja.

Chwilę trwało złudzenie. Poznaliśmy że chyba przez omyłkę daje nam autor to dwoje bliźniąt za charakterystyczną próbkę téj oryginalności. Poznaliśmy że są one z téj już dosyć licznéj i różno-imiennéj rodziny *Improwizacyj* Pana Kraszewskiego. Niepocieszające było to spostrzeżenie: rozumieliśmy że mamy słuszne prawo spodziewać się, iż Pan Kraszewski obdarzy literaturę czém ważniejszém, pożyteczniejszém, sumienniéj wypracowaném, biorąc dobrą wróżbę z przyrzeczenia Historyi miasta Wilna. Bo *Improwizacyje do zapalania fajek;* takie improwizowane powiastki, takie niedojrzałe płody kilkogodzinnéj pracy, nie mogące mieć w sobie dosyć wewnętrznéj żywotnéj siły do dłuższego trwania, smucić i trwożyć muszą najgorętszych nawet Pana Kraszewskiego stronników.

Złośliwy albo ścisły obserwator gotówby zrobić uwagę, że nawet ubywający postęp formatu dzieł Pana Kraszewskiego, który przechodził przez różne modyfikacje 8vo maj, 8vo, 8vo min., 12. 16 i doszedł tego in 16 minimo, zgadza się z ubywającą ważnością ich treści wewnętrznéj. *Ostatni rok Zygmunta III:* odgadując myśl autora z tytułu miało to być kilka kart historyi kształtem powieściowym ożywionych. *Kościół ś. Michała w Wilnie*, był romansem niby historycznym. Nastąpił daléj *Pan Karol, powieść fantastyczna*, ale tutaj fantastyczność nie była fantastycznością Hoffmana, raczéj była ta powieść już jakby poprzedniczka dalszego szeregu improwizacyj.

Zaiste nieznajdziemy w tych dwóch powiastkach *Piekarz* i *Pan Bartłomiéj*, ani zapachu Walter-Skotowskiéj szkoły, nie znajdziemy tkliwych obrazów Augusta Lafontena, ponuréj sentymentalności Pani Dudevant (George-Sand), filozoficzności Balzaka; tylko spalenie czarownika przypomina Hoffmana; i co więcéj, gotowiśmy utrzymywać, czemu nie wszyscy uwierzą, że te powiastki burlesco mniéj niż inne Pana Kraszewskiego wylewane są na formę Pana Pawła de Kock.

W czymże ta oryginalność? — kochanek zdybany i kryjący się w szafie, pojedynek między dwoma tchórzami, kul słomy zamiast czarownika spalony, peruka przez pieska pogryziona, są główne katastrofy powiastek, a dalszą ich ozdobą dobra doza dwuznaczników, burleszków, miejsc pospolitych i styl dosyć pospieszny.

I toż są pisma surowego krytyka naszych i całego świata pisarzy romansów (*Wizerunki naukowe*, poczet nowy, 1837, tomik 10ty); takiemiż wzorami teoryj swoich dowodzi!

Zresztą te powiastki i przy nich poważną przemowę zdaje się że trafnie weźmiemy za rodzaj żartu i mistyfikacyi, i że te dziwne połączenia wyrachował autor dla podniesienia komiczności; jeżeli zaś na nieszczęście byłoby to *serio*, należy najmocniéj prosić Pana Kraszewskiego aby raczył jak dotąd, choćby nawet Pawła de Kock, naśladować.

Wilno. *A. E.*

SŁAWNI TANCERZE

Z czasów Ludwika XIV.

Ludwik XIV miał wielkie upodobanie w tańcu, i nie był najgorszym z tancerzy swego czasu. Założył akademię téj sztuki, któréj członkami byli nauczyciele króla, królowéj i książąt. Często bardzo także w salach królewskich wydawano balety, maskarady, czarodziejskie skoki, w których sam król, książęta i księżniczki główne mieli role. Lecz tańce wykonywane przez dwór i książąt nie zaspakajały króla, dla tego też roku 1661 założył wspomnioną akademię tańca, gdyż jak się w przywileju wyraża, sztuka ta od najdawniejszych czasów uważana była za celującą i najpotrzebniejszą do wykształcenia ciała, dziwnie korzystna dla szlachty; i nietylko w czasie pokoju na dworach, lecz i w wojennych czasach po obozach używaną być powinna. Pomimo tego, nie zdaje się aby ta akademia wielki wpływ na dwór wywiérała. Było atoli w owym czasie mnóstwo sławnych tancerzy w Paryżu, których nazwiska we francuzkich pamiętnikach tańca nigdy zapomnianemi nie będą, jako to: Pécourt, Beauchamps, Blondy, Feuillet, Desaix, Ballon i wielu innych. Ballon i Blondy byli szczególniéj wzorem dla późniejszych mistrzów w téj sztuce; największą jednakże sławę pomiędzy tancerkami ówczesnemi pozyskała Panna Camargo. Powiedziano o niéj, że przez swój wielki i sobie tylko właściwy talent przewyższyła Ballona i Blondy. Sławna ta tancerka pochodziła ze znakomitéj hiszpańskiéj rodziny, a gdy się pokazała na scenie, z takiém ją przyjęto upodobaniem, iż wszystkie najnowsze mody jéj imieniem nazwano. Odznaczała się nadzwyczajną lekkością, wesolością i powabem, i mówią, że piérwszą była z tancerek co tak zwanych *entrechats* używać zaczęła, które bezwątpienia jednakże późniéj daleko więcéj udoskonalono. Pomimo nadzwyczajnego talentu, długi czas, przez zazdrość tancerki Prévot zostawała tylko pomiędzy figurantkami; raz się jéj wreście udało w hiszpańskim tańcu tak bardzo zachwycić publiczność, iż odtąd na zawsze piérwszą jéj faworytką została. Camargo w szesnastym roku weszła do opery, i wciąż przez lat dwadzieścia pięć publiczność paryzką zachwycała. Wolter w następnych wierszach porównywa ją z również sławną ówczesną tancerką:

„O Camargo, jakże świetną jesteś! ależ, o Bogi, Sallé niemniéj jest zachwycającą; powabne są jéj kroki, lecz twoje powabniejsze; bo ją można naśladować, a ty jesteś nienaśladowniczą. Nimfy takowe skoki czynią jak ona, lecz tylko Gracye tak jak ty tańczą!"

Panna Sallé, która nie pochodziła bynajmniéj ze starodawnéj szlacheckiéj rodziny, ni tak jak ona miała wujem wielkiego hiszpańskiego inkwizytora, była prócz tego tancerką w innym zupełnie rodzaju. Taniec jéj był szlachetny i wdzięku pełen, nie czyniła wielkich skoków ani żadnych *entrechats*. Nieograniczała się na zachwycaniu swoim talentem samych paryżanów, lecz szukała także szczęścia na rozmaitych londyńskich teatrach. Niezaprzeczoną jest rzeczą, iż żadna tancerka nie otrzymała nigdy podobnego dowodu zadowolenia i wdzięczności publicznéj, jak Panna Sallé podczas swego benefisu w Londynie. Gdyż skoro tylko ukazała się na scenie, powitano ją gradem sakiewek pełnych złota i bankowych biletów, które ze wszystkich loż do stóp jéj spadały, i uczyniły razem summę 2,100,000 franków. W owym czasie, wraz z temi głośno-słynącemi tancerkami jaśniał sławny Dupré, poprzednik sławniejszego jeszcze Vestrisa. Dupré, który przecudny wzrost i pełną powagi postawę posiadał, opiéwany także był przez znanego poetę Dorata, w następnych rymach:

„Gdy wielki Dupré, ze swoją poszanowanie wrażającą postawą, wysokim pióropuszem ozdobny, wejdzie na scenę, mniemasz widzieć bóstwo upatrujące ofiar i ołtarzy, które tylko z niechcenia raczy się mięszać do tańca śmiertelników."

Inni także poeci zwali go Bóstwem tańca, dla silnych i pełnych powabu poruszeń. Był on przez lat trzydzieści piérwszym tancerzem paryzkiéj opery; miejsce to zajął po nim sławniejszy jeszcze Vestris starszy, który talentem swym przez całe pół wieku paryzką zachwycał publiczność. Sławny ów Vestris był również światłym człowiekiem jak wielkim tancerzem. Sam nazywał własnego syna, Augusta Vestris, bóstwem tańca, i zwykł był mawiać: „Jeśli syn mnie kiedyś przewyższy, to jedynie dla tego, że takiego jak ja miał ojca: Co do mnie, w młodości mojéj nie byłem tak szczęśliwym."



Z tym Numerem kończy się 1e półrocze Magazynu Powszechnego z roku 1837. Prenumerować można w Kantorze Głównym (przeniesiony teraz na ulicę Miodową, w domu Wgo Zeidlera Nr. 482 obok cukierni Pana Loursa) jako też w Księgarniach i Kantorach Pism Peryodycznych.

Szanowni Prenumeratorowie na prowincyi zechcą wcześnie zapisać się na Urzędach i Stacyach Pocztowych, a tym sposobem zapewnią sobie nadal, regularne odebranie Magazynu Powszechnego.

NA PROWINCYI PRENUMEROWAĆ MOŻNA:

Na wszystkich Urzędach i Stacyach Pocztowych.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych do Głównego Pocztamtu w Wilnie należących, oraz u następujących Księgarzy:

w St. Petersburgu, u A. Smirdina, u PP. Eggers et Pelz, i u W. Pluchart.
w Moskwie, u Szyrajewa Księg. Uniwers:
w Wilnie, u Teofila Glücksberga.
„ u Józefa Zawadzkiego.
w Mitawie, u A. Reyhera.
w Rydze, u P. Franzen.
Na Podolu i Wołyniu, u Braci Lechów, i u Szczepańskiego.
w Krakowie, u D. E. Friedleina i u Czecha.
we Lwowie, u Wilda i Syna, u Millikowskiego i u Pillera.
w Poznaniu, u J. J. Heine i u T. Scherka.
w Lesznie (Xięst. Pozn.), u Ernesta Günther.
w Wrocławiu, u W. G. Korna i S. Schlettera.
w Wiedniu, u Schaumburg i Comp.
w Lipsku, u J. J. Webera i F. A. Brockhausa.

Wszelkie pisma i pieniądze, winny bydź nadsyłane *franco*, a adressowane: Do Księgarni Szkół publicznych w Królestwie Polskiém.

J. GLÜCKSBERG
Księgarz Szkół Publicz. w Król. Pols.

Exemplarze Magazynu Powszechnego, *nieopatrzone niniejszą pieczęcią, prawnie poszukiwane będą.*

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKÓŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482.